

“Data ważności”

**Stanisław Oglódek**

### **Produkt A**

Wiedzą powszechną jest, że daty ważności pewnych produktów są jedynie wymysłem producenta, który za wszelką cenę pragnie, by jego towar prędzej czy później trafił na śmietnik, a on otrzymał zamówienie na następną (którąś z rzędu) paletę tego produktu (nazwijmy go produktem A).

Produkt A w rzeczy samej do spożycia nadaje się jeszcze przez kilka dni, ba nawet kilka długich miesięcy (takich, co mają dni trzydzieści dwa, niekoniecznie dni trzydzieści jeden) – wszystko zależy jednak od tego, w jakich warunkach się go przechowuje. Producent najczęściej zaleca spożycie produktu (zwłaszcza, gdy jest on “świeży”) do jednej doby po otwarciu. Wtedy rzecz jasna data ważności skraca się do tej jednej, wymaginowanej przez producenta “doby”. Doba ta nie musi mieć dwudziestu czterech godzin – może mieć ich dwadzieścia trzy, może mieć ich także dwie. Ale jak powinniśmy interpretować lakoniczny wyraz “po otwarciu”? Czy po odkręceniu wieczka natychmiast załącza się swego rodzaju stoper, minutnik (w tym wypadku raczej “godzinnik”), odliczający te iluzoryczne dwadzieścia cztery godziny, co do joty, co do sekundy? A po upływie tego czasu, gdy minutnik (to jest godzinnik) wyświetli magiczne “00:00”, od którego matematykom kręci się w głowie (bo przecież nie wolno dzielić przez zero, a co dopiero zero przez zero!) produkt przestaje być “zdatny do spożycia”?

### **Pan B. (Nazwa handlowa: produkt B.)**

Nie jest także tajemnicą, że gdy człowiek zachodu przyjedzie do kraju, gdzie w lodówce pod denkiem pudełka od lodów kryje się koperek, może doznać bardzo silnego wstrząsu i szoku kulturowego. Tutaj ten stoper w produktach “po otwarciu” jakby zwalnia, staje się jedynie ciałem doradczym (raczej “od-radczym”, ponieważ od-radza, prawda?). Nie stanowi najmniejszej przestrogi. No bo czym są dla hardego człowieka “zatrucia pokarmowe”? Rzadko słyszy się o przypadkach śmiertelnych. To przecież “fanaberie”.

Wielkie więc było zaskoczenie Pana B., gdy podczas wycieczki krajoznawczej do kraju, gdzie w lodówce pod denkiem od lodów (najczęściej waniliowych) kryje się koperek, a cmentarzyska blokowisk wydają się trupim lasem, ujrzał na ulicach sprzedające kwiaty

smutne panie w moherowych beretach i beżowych płaszczach (kreacjach niezwykle nowo-  
staromodnych, jakich nie powstydziliby się absolutnie żadna paniusia na paryskim salonie,  
bo, jak mówią niektórzy “moda (po)wraca”, ma nawroty, jak nowotwór), maszerujące do  
kościółka w równych abugach (jak w wojsku) tłumy szarych, przygnębionych osób, rosłych  
mężczyzn wnoszących węgiel na czwarte (lub trzecie, to bez znaczenia) piętro starej,  
krzyczącej (chyba o remont), poniemieckiej kamienicy, ujadające w bramach psy...

Dla niego, (obecnie) mieszkańca miejsca określającego się bardziej jako “zachód” niż  
“wschód” (zabawne, bo kiedyś na uczelni określono go mianem *homo occidentalis*, człowiek  
zachodni, bo tak się ten człowiek wschodu na zachodzie zasymilował i nikt nie potrafił  
odgadnąć, że korzenie ma wschodnie), był to istny koszmar. W szczególności tknęła go  
panująca tu bieda i obojętność innych na ludzkie cierpienia. Obojętność uważał on bowiem za  
trawiającą cywilizację chorobę, która co zimę zbiera ogromne żniwa wśród tych, którzy nikomu  
niczym zawinili. Chyba że własną istotą bytu. Tę martyrologię narodu z pewnością  
niewybranego Pan B. przyjmował z wielkim ubolewaniem. Co noc modlił się do  
(nie)wiadomo kogo o przebaczenie mu i całej społeczności ludzkiej najcięższego grzechu –  
grzechu zaniechania.

### **Ludzie C. (nazwa handlowa: produkt C.)**

Pogoda w tym kraju niezbyt sprzyjała jego planom – niebo obszyły chmury tak grube, że  
choćby najostrzejszymi nożyczkami je przeciąć, to prawdopodobnie żadne promienie słońca  
nie dostałyby się na te szare, brukowane ulice. W porównaniu z krajem, z którym na co dzień  
obcował Pan B., kraj, gdzie w lodówce pod denkiem od lodów (czekoladowych, tak,  
czekoladowych, pomyliłem się) kryje się koperek, trawiła entropijna wizja chaosu i  
apokalipsy. Na karkach mieszkańców tego kraju leżało specyficzne poczucie  
odpowiedzialności za wszelkie zło dzisiejszego świata. Oddech winy mącił ich sen, sprawiał,  
że nawet najpiękniejszy z najpiękniejszych dni zdawał się być szary i smutny, bo przecież  
“następny taki może nie nadejść”. Mieszkańcy tej krainy hodowali strach jak warzywa w  
ogródkach, nie chcieli się go pozbyć – była to ich cecha, ich ewolucyjna przypadłość, ich  
pieprzyk na policzku.

Zdawać by się mogło, że to przerażające poczucie strachu nie ma daty ważności. Nigdy  
się nie zestarzeje, nigdy nie pokryje warstwą kurzu (nawet najcieńszą), nigdy nie nabierze  
patyny. Puszka Pandory nie ma daty i numeru seryjnego na wieczku.

I dlatego Pan B. odczuwał szczyptę wzgardy do obywateli tego kraju. Uważał, że jako osoba światła i wykształcona, wręcz arystokratyczna we współczesnym tego słowa znaczeniu, jest ponad kierujące nimi popędy, ponad ich politeistyczną wiarę w bóstwa wielu fobii i bóstwa wielu strachów. Prościej w słowa ujmując: Pan B. czuł się lepszy od Ludzi C.

### **Mieszkanie**

W kraju, gdzie w lodówce pod denkiem od lodów (a może to były lody truskawkowe?) kryje się koperek, Pan B. zamieszkał w małej klitce z ciemną kuchnią, pokrytymi miodową boazerią ścianami oraz wszechobecnymi, niby to “orientalnymi” dywanami i ozdobami, które właściciel zwykł nazywać “kurzołapkami”. Nie zabrakło tu – rzecz jasna – meblościanki wykonanej z imitującego drewno plastiku oraz grożącej katastrofą (naturalną) instalacji (gazowej, elektrycznej, sam już nie wiem).

Było to mieszkanie należące do jego rodziny, bardzo odległej – zapewne jednego z braci ojca lub innych dalekich krewnych Pana B.

Pomimo tego pokrewieństwa, Pan B. nie znał ich nazwiska, ale czy to ważne? (Nie ważne). Widniało ono na drzwiach (z potrójnymi zasuwami, zamykanymi na przynajmniej cztery różne klucze, drzwiami podwójnymi, co z wewnętrznej strony są obite specyficznym materiałem, niby to “dźwiękoszczelnym”), jakby to właśnie te drzwi miały tak się nazywać. To one zostały uhonorowane tak zaszczytną tabliczką z nazwiskiem. Nikt nie wyprowadził ich (to jest drzwi) z błędu, że tabliczka nie określa drzwi w istocie, a właściciele tychże drzwi. Między Bogiem (kim?) a prawdą, tabliczka mogłaby głosić “Tu mieszkają Państwo Nikt”, a nikt by się nie zorientował, skoro w gwarze tej wspólnej, betonowej jaskini, ci państwo byli “Państwem Spod-Trójki” czy “Państwem Spod-Dziewiątki” (numer jest bez znaczenia). Byłyby to wtedy bardzo długie nazwiska, dwuczłonowe. Zapewne nie mieściłyby się na dowodach (osobistych czy wspólnych). A w nazwisku chodzi o to, aby się na dowodzie zmieściło.

Ale przekręcający klucz w zamku Pan B. nazwisko krewnych zignorował, bo uznał, że jest ono zbyt pospolite dla jego oczu.

Ta betonowa, kilkupiętrowa jaskinia znajdowała się teraz w dwóch strefach czasowych. Zegarek Pana B. (taki złoty, noszony na ręce, lewej lub prawej, ale nigdy, przenigdy nie noszony na nodze, bo co to za maniery, nosić zegarek na nodze!) był nastawiony na jego czas (to niezwykle roszczeniowe, powiedzieć, że czas jest “czyjś”), czas, do którego zdążył się przyzwyczaić. Czas, wśród którego żył na co dzień, czas mu tak bliski. Reszta zegarków w tej

wielkiej gromadzie spieszyła się o dwie godziny. Przynajmniej jeśli przyjmiemy, że to zegarek Pana B. jest naszym punktem odniesienia, wokół którego orbitują inne zegary. Sam zegar jest dalece ciekawym mechanizmem; tak zapatrzonym w siebie, że z każdym tyknięciem pisze swoją autobiografię. Zegary zdają się rywalizować. Który jest bardziej punktualny? Który się nie spóźnia? (Pytanie powinno brzmieć: “Kto się nie spóźnia?”). Według Pana B. to zegary (i czas) powinny się dostosować do ludzi, nie odwrotnie. Skoro mamy czynić ziemię sobie poddaną, jak mówi Księga (U)Rodzaju, to dlaczego tworzymy tak opresyjne mechanizmy, jakimi są zegary? Dlaczego narzucamy na swoje barki odpowiedzialność za następną, delikatniejszą od porcelany bożą strukturę, dlaczego tak solennie musimy pilnować, aby wszystkie zegary chodziły “poprawnie” (czyli “po prawie”?). Dlaczego w ostatnich stuleciach dzielimy czas jak ziarenka piasku na coraz to mniejsze grudki, mierząc go w latach, miesiącach, dniach, godzinach, milisekundach, hektosekundach... Dlaczego na przestrzeni tego okropnego, zadufanego w sobie czasu, staliśmy się chciwi wiedzy i chorobliwej dokładności?

Pan B. miewał wrażenie, że będąc w kraju, gdzie pod denkiem od lodów (pistacjowych?) kryje się koperek, znajduje się na antypodach humanizmu i kultury wyższej. Uznał, że to dlatego, że tutejsi do teatru chodzili równie rzadko, co na ich twarzach gościł szczery, trzeźwy uśmiech. Doświadczył tego od razu po przyjeździe. Klatka schodowa ozdobiona była współczesnymi malowidłami, podpisami, graffiti – zamiast Płynących Jeleni z Lascaux na olejnej lamperii widniał “Kambion77”, zaraz obok: “A+Z=WIECZNOŚĆ” i od niechcenia dorysowane serce... Można by jeszcze długo wymieniać. Pan B. rzucił na tę “sztukę” pogardliwe spojrzenie i prędko posunął się dalej.

Pan B. przyjechał tu, aby zbadać zjawisko społecznej depresji i wpływ braku wystarczającej ilości przeczytanych tekstów i obejrzanych spektakli na stężenie endorfin we krwi Ludzi C. Na tę naukową wyprawę wziął ze sobą obszerną teczkę na ważne-nie-ważne dokumenty, walizkę z ubraniami oraz dużo pieniędzy, aby na wschodzie żyło mu się równie dobrze, co na zachodzie.

Gdy przekroczył próg mieszkania, zrobiło mu się ciepło i zimno zarazem. Zgłodniał po podróży. Żołądek ścisnął się, jakby ktoś wyżył mokrą ścierkę. Ale Pan B. do kraju trafił pod wieczór, więc wszystkie sklepy i ewentualne restauracje stały ciemne i zamknięte.

Więc tylko zdjęwszy płaszcz (nie buty) począł błądzić po cudzych własnych pokojach w poszukiwaniu czegoś, co możnaby w bardzo kulturalny sposób spożyć. A instynkt zaprowadził go wprost do kuchni.

Otwierając liczne szafki, słysząc szczełk sztućców poruszanych nagłym wstrząśnięciem ich domu-szuflady, jak gdyby sprowadzając na ich małe społeczności wielkie trzęsienia ziemi, sprawdzając każdy kąt maciupieńkiej kuchni, poczuł, że kierując się głodem utracił całą godność. Zniżył się do poziomu tutejszych. Zmarszczył brwi, przystanął. Rozejrzał się wkoło. “Nie, nie jestem taki, jak oni” – pomyślał. Żołądek skurczył się w odpowiedzi. “Ale zjeść należy”. I wrócił do przetrząsania mieszkania, przegrawszy z kretesem wewnętrzny spór “zjeść – czy nie zjeść – oto jest pytanie”.

### **Butelka**

Oczy mu się zaświeciły, chyba pełgał w nich żywy ogień, gdy dostrzegł błysk szkła w głębi najgłębszej szafki, do której dostał się wspinając na mały stoliczek. Był jak marynarz na bocianim gnieździe, który właśnie wypatrzył bystrym okiem snop morskiej latarni. Długą ręką sięgnął i chwycił za szyjkę – tak, to butelka.

– Przynajmniej ugaszę pragnienie – mruknął Pan B., bardzo ostrożnie schodząc ze stołka wraz z butelką, niby ją asekurować. (Albo to ona asekurowała jego). – A nawodnienie organizmu jest bardzo ważne – usprawiedliwiał samego siebie przed moralnym osądem własnego umysłu

Zbliżył etykietę butelki do brudnej lampy jakby ona (ta etykieta) była dokumentem tożsamości imigranta a on funkcjonariuszem straży granicznej, z dziwną satysfakcją i pieczołowitością przyglądając się wypisanym na papierze danym. Ale w kraju, gdzie pod denkiem od lodów (cytrynowych, to sorbet) kryje się koperek, używa się innego alfabetu niż na zachodzie. Litery przypominały Panu B. filigranowe runy, zbiory chudych kresek (nikt ich najwyraźniej nie karmi), nuty, pismo magiczne. Panu B. brakowało Kamienia z Rosetty, tego, który pomógł niegdyś złamać szyfr hieroglifów, aby i on mógł przełamać barierę językową i przeczytać etykietę na butelce. Zdziwiło go jednak, że podpisy na klatce schodowej i graffiti zapisano w jego rodzimym alfabecie. Cóż, najwyraźniej kraj ten stał w rozkroku między jednym alfabetem a drugim, a ten pierwszy widocznie wkrótce się przeterminuje.

Pan B. poprawił okulary i przyjrzał się etykietce. Poszukiwał punktu zaczepnego, półki skalnej, miejsca, na którym mógłby podeprzeć swoją stopę badacza. I chyba takie miejsce znalazł. W znanym mu alfabecie zapisano:

*Nie należy przekraczać zalecanej dawki produktu.*

Pan B. zmarszczył czoło. Ciemne szkło butelki utrudniało zidentyfikowanie płynu wewnątrz naczynia. Pan B. wolał jej nie otwierać – taką samą doktrynę przyjął w kwestii

czytania, uważając, że przed intelektualnym spałaszowaniem pierwszego akapitu człowiek powinien zwrócić uwagę na okładkę i tytuł.

Pod enigmatycznym zbiorem liter obcego pisma i napisem, na który nie zwrócił szczególnej uwagi (bo jaka jest zalecana dawka?), Pan B. dostrzegł cztery cyfry: 32.12.

Pierwsza myśl: 32 grudnia. Druga myśl: numer seryjny. Czwarta myśl: “Dzięki Bogu, te dwa alfabety mają to do siebie, że cyfry zapisuje się tak samo”. (Myśl trzecia gdzieś umknęła, ulotniła się z dusznego pomieszczenia, uleciała w mrok chmur i baletu opadu śnieżnych liści, jakby pędząca gdzieś wróżka zębuszka pogubiła zęby dzieci, rozsypując je wkoło).

Pan B. uważał, że pierwsza myśl – w przypadku konfliktu – jest myślą najbardziej trafną. Dziś był 31 grudnia. Jutro, jeśli go wewnętrzny kalendarz nie mylił, rok obecny miał się przeterminować, zużyć, trafić na śmietnik, a zacząć miał (lub mógł) się rok kolejny. Zerknął na zegarek. Za kwadrans jedenasta. Dopiero po chwili zastanowienia zdał sobie sprawę z tego, że taka data (32 grudnia) w ogóle w kalendarzu nie istnieje. 32 grudnia to 1 stycznia. 32 grudnia to apokryf kalendarza. 32 grudnia to bękart dwóch, następujących po sobie lat.

Ale skoro dzisiaj był 31 grudnia, Pan B. postanowił butelkę otworzyć.

I nawet nie zdał sobie sprawy, że podczas tej błahej czynności, jaką była analiza etykiety podejrzanej butelki, z szanowanego naukowca stał się marynarzem, pogranicznikiem, tłumaczem i kalendarzowym antropologiem.

### Wyścig z czasem

Pan B. ostrożnie odetkał korek. Powąchał. Nic. Dostyć niehigienicznie wetknął palec do szyjki, maczając jego czubek w gęsto-rzadkim, to jest nijakim, płynie. Posmakował, oblizując palec. Umysł Pana B. na krótki moment zerwał się ze smyczy. Przytoczył wizję dzieciństwa, wizję sadów z niskimi jabłonkami z pomalowanymi na biało pniami, z drzewami uginającymi się od żółtych, małych słońc: mirabelek, wspomnienie krzewów obrosłych w... pigwę. To musiał być syrop pigwowy. Pan B. nigdy nie zapomni tego cudownego, delikatnie cierpkiego, a jednocześnie niesamowicie słodkiego smaku. Równocześnie uderzył go zapach, zapach pigwy w cukrze. Rozkoszował się, zanurzył, na powrót stał się *homo orientalis*, człowiekiem wschodu, człowiekiem wschodnich równin, człowiekiem wschodniego lata, człowiekiem wschodniej zimy...

Ale otrzeźwiał. Odrzucił nostalgię. Uznał, że to miejsce źle na niego działa. Bo przecież jest naukowcem. Jest człowiekiem zachodu, nie wschodu. Jednak ten smak... Przykro by było

Panu B., gdyby taki przetw6r si6 zmarnował... Postanowił wi6c wypić ten syrop. W końcu jeszcze nie wyszedł z daty.

Picie soku z pigwy, jakby wielki rytuał inicjacji, rozpoczął od dokładnego odmierzenia dawek (dwóch kropel) i dodawania ich do wody z kranu. Nie wiedział, czy można w tym kraju pić wodę z kranu, ale zdecydował, że przełamie swój strach, aby samemu nie stać się jego niewolnikiem, i zacznie wychodzić ze strefy komfortu. Poza tym sok z pigwy oczyści nawet najbrudniejszą wodę.

I tak wypił trzy szklanki. Jedna po drugiej. Pił wodę z sokiem jak smok wawelski pił Wisłę. Ciekawe, czy smok wawelski także dolewał do Wisły dwie krople syropu. Ciekawe, czy Wisła też się kiedyś przeterminuje. Ciekawe, jak wygląda przeterminowana rzeka. Wysycha, a może pokrywa się strupem pleśni?

Pan B. co chwilę zerkał na zegarek. Wybiła jedenasta. Pozostała godzina, a płynu w butelce zdawało się wcale a wcale nie ubywać. Najwyraźniej sok, jak nasza Wisła, miał swoje tryskające źródło gdzieś głęboko i daleko w górach, w górach nostalgii i wspomnień; źródło Pana B. ciekło raczej jak żywica, jak żywica uciekająca z przerobionego na deski drzewa, bo drzewo bez kory zachowuje się tak samo jak ciało bez skóry, traci krew i soki, staje się mięsiste, wilgotne, miękkie. Dla skrytej pod naukowym *Ja* podświadomości Pana B. najsmutniejsze było jednak to, że od ścięcia drzewa, z którego został stworzony, po usunięcie kory, pocięcie i oszlifowanie, brzoza stała się drewnem świerkowym.

Że w trakcie procesu człowiek wschodu stał się człowiekiem zachodu.

Pan B. spanikował. Ogarnął go lęk, że nie zdąży, nie wypije soku z pigwy na czas. Zmartwił się, że syrop się przeterminuje. Że syrop się zestarzeje. Jak człowiek. Że syrop osiwieje, zmęczy go artretyzm i choroby serca, że syrop zacznie chodzić o lasce. A kto to widział, żeby syrop chodził o lasce.

Dlatego Pan B. zaczął do wody lać po trzy krople soku. A pił już szóstą szklankę, jeśli mnie rachuba (rachunek-za-wodę) nie myli. Wiedział (był w końcu człowiekiem wykształconym) o tym, że minie niewiele czasu, zanim potrzeba fizjologiczna (broń Boże filologiczna) zmusi go do odwiedzenia łazienki, ale myśl o tym, jak na wschodzie wyglądają toalety, nieco poprawiała sytuację i wydłużała datę ważności jego pęcherza.

Woda z trzema kroplami była słodsza. Ale Pan B. się przyzwyczał. Tak, jak kiedyś przyzwyczał się do obyczajów zachodu, tak, jak kiedyś przyjął cudze normy niczym swoje, będąc podręcznikowym przykładem konformisty i przybysza uległego głębokiej asymilacji.

Tik-tak. Takie odgłosy wydawały zegary w domu. W kuchni nie było żadnego, zapewne po to, aby gospodyni nie zorientowała się, ile czasu marnuje na zmywanie talerzy. Takie

wytlumaczenie znalazł przynajmniej Pan B., z każdym kolejnym łykiem wody podnosząc rękę i jak maszyna repetując: sprawdzenie godziny, nalanie wody do szklanki, odmierzenie trzech (potem już czterech i pięciu i sześciu i siedmiu) kropel soku z pigwy... Gorliwy matematyk mógłby stworzyć wzór, który określałby, co ile szklanek wody Pan B. zwiększa dawkę soku. Pan B. zapewne wykorzystałby taki wzór w którejś ze swoich prac naukowych poświęconych rzeczom, o których nie bez powodu kiedyś (w Biblii) nie pisano. Ale taki wzór nie powstał. I nie powstanie.

Gdy liczba kropel przekroczyła dziesięć, Pan B. przestępował z nogi na nogę, nie mogąc utrzymać moczu ani chwili dłużej. Zdawało mu się, że puchnie, prawie tak, jak ten smok. Że jego palce-palce (bo w obu dłoniach) pęcznieją jak kasza lub drożdże, że wkrótce wybuchną. Że na skórze pojawią się rozstępy podobne do sęków w desce. Że rozsadzi sam siebie.

Za trzysta minut zegarek pokazałby północ. Pan B. począł łać syrop strumieniami, wypijając szklanki soku z wodą (nie odwrotnie). Później pił już sam sok. Wlewał go w siebie, przechylając butelkę i czując, że znowu jest dzieckiem, które szukając słodczy jak filozof sensu pije sam sok, bez wody. I tak wlewał w siebie nie tylko syrop, ale i wspomnienia.

Wewnętrzna gospodarka płynów musiała zostać poważnie zaburzona, bo Pana B. zapiekły oczy. Papierek lakmusowy smutku pociemniał pod wpływem wilgoci słodkich (pigwowych) łez. Nostalgia zdawała się chwytać Pana B. za gardło. Zdarła z niego marynarkę, rozwiązała krawat, potłukła zegarek, rozpięła koszulę. Pan B., z butelką w rękę, ruszył do salonu: jedyne pomieszczenia z dwoma oknami. Otworzył je, chyba wypadły, jego to nie interesowało. Oparł się o parapet i wyglądał przez szkła łez. Zimno 31 grudnia uderzyło w rozgrzaną ciepłem pigwy (ona nabrała go wisząc na krzewach, grzejąc w słońcu) twarz.

I zobaczył cały świat. Ze szczegółami. Bloki mieszkalne zdawały się być wielkimi kolumnami, Atlasami, trzymającymi niebo na swoich barkach. Były jak dziurawy ser: w części okien paliły się światła, a część zionęła mrokiem. Ale w tych blokach nikt nie spał. Nie wyczekiwano też nowego roku. Tu wyczekiwano 32-ego grudnia.

Pan B. ujrzał piękno kraju, gdzie w lodówce pod denkiem lodów (nieważne jakich) kryje się koperek: ujrzał uśmiech śniegu, na którym ślady w kształcie aniołków zostawiły dzieci albo dorośli, ujrzał roześmiane grupy idące do kogoś na Sylwestra (to znaczy na Nowy Rok, to znaczy na 32-ego grudnia), ujrzał i innych, starych i młodych, oglądających telewizję i czekających na kolejny dzień.

Pan B. załkał głośno, zawył jak pies do księżycy, którego nie dało się dostrzec zza chmur i płatków śniegu, bo to może księżyc został pocięty na malutkie kawałeczki, na zimne konfetti



spadające na ziemię. W butelce pozostało niewiele. Tyle, ile wypił, tyle miał teraz w sobie wspomnień z dzieciństwa. Chleba z wodą i cukrem, przetworów, nie tylko tych z pigwy... Opowiastek na dobranoc zamiast naukowych publikacji, snu z błogą świadomością, że jutrzejsze słońce czy jutrzejszy deszcz będą zawsze piękne i że zawsze będzie coś do roboty, zawsze będzie komu pomóc, zawsze będzie co pojeść, zawsze będzie gdzie odpocząć, zawsze będzie o czym pomyśleć, zawsze będzie na co popatrzeć i doszukiwać się na niebie sęków jak w drewnie, sęków i szkieletu bramy niebieskiej, o której tak wiele się opowiada...

Pan B. wychylił się z okna, jakby chciał wyskoczyć. Ale nie chciał skakać. Uderzył się głową we framugę. Poczł ból, który sprawił, że znowu stał się naukowcem. Że znowu stał się profesorem, że dorósł, bo nie wykrzyczał tego bólu, a stłumił go w sobie, chwycił za gardło jak węża, przydusił, nie dał mu ulecieć w postaci krzyku. Krew objęła jego głowę jak korona. Butelka wypadła mu z rąk i rozbiła o podłogę. Stare szkło zaścieliło linoleum, to ohydne linoleum, którego Pan B. tak bardzo nienawidził. Reszta soku z pigwy pozostała plamą na podłodze, łatwa do starcia ale lepka i słodka. Pan B. upadł na tę podłogę, przykleił policzkiem do brudnego podłoża. Łzy kapwały, łącząc z plamą syropu. Pan B. chciał wypić jego resztkę, wsiąknąć resztkę wspomnień. Uzależnił się od dziecięcej nostalgii. Nie był już ani *homo occidentalis* ani *homo orientalis*. Teraz był człowiekiem upadłym.

Chmury odsunęły się z nieba jak kotara odsłaniająca scenę i aktorów. Pan B. czekał na fajerwerki. W końcu była północ. Ale zegary w domu nie wybiły północy. A nieba nie rozjaśniły kolorowe eksplozje. Bo w kraju, gdzie w butelce pod etykietą soku z pigwy kryje się ocet, nie strzelają fajerwerki.

*Nie należy przekraczać zalecanej dawki produktu.*

*Ecce homo,*

*oto człowiek*

*32.12.1991*